

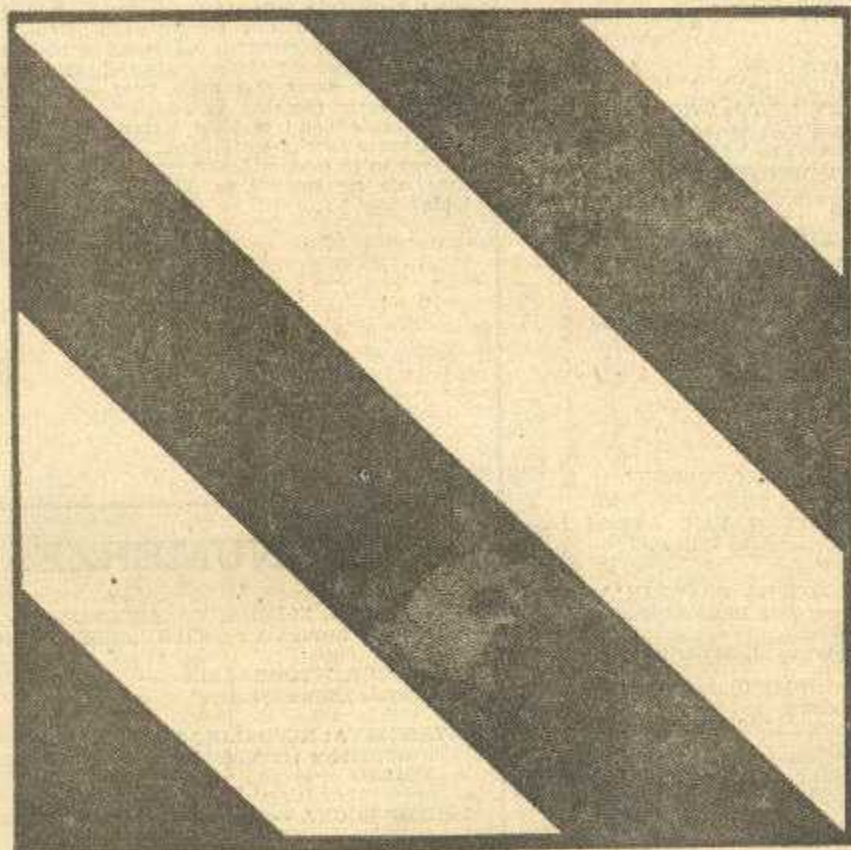
NON STOP

NR 8 (131) Rok XII

Cena 20 zł

SIERPIEN 1983

DODATEK „TYGODNIKA DEMOKRATYCZNEGO”



W środku

REPUBLIKA

KTO ZDEMONTOWAŁ PERFECT
ŚWIETNE RECENZJE

Wkrótce

BUDKA SUFLERA WIECZNIE ŻYWA

Dlaczego rozpadł się Perfect?

Sala wypełniona publicznością, ale nie do ostatnich granic. Typowa atmosfera rockowej imprezy. Widownia w przedziale wieku 13—18 lat, i tylko nieliczni „emeryci” posiadający już dowód. Wśród gwizdów aplauzu, krzyków i braw pojawiają się na scenie artyści. Grają wszystkie swoje sławne utwory. Młodzież skacze i tańczy. Zapada cisza, gdy śpiewają o jednym z nich: rockowym muzyku, który zmarł. Na widowni pojawiają się pokraczne gesty w postaci wyciągniętych do góry, płonących zapalek.

Koncert się kończy. Muzycy po prostu schodzą ze sceny. Publiczność tłoczy się wyjść. Problem sprawiają tylko rozhisteryzowane 15-latkę, które koniecznie chcą od Grzesia, Andrzeja czy Zbyszka autograf, pocałunek lub jeszcze coś więcej.

W końcu, muzycy odjechali. Ludzie poszli.

Zwykły, normalny koncert „Lombardu”, „Lady Pank” czy „Republiki”? Udany, lecz nie będący wydarzeniem... Nie.

Tak — wcale nie w atmosferze końca świata — żegnał się ze swą publicznością „Perfect”.

GRZEGORZ MARKOWSKI

— Przyczyn jest parę. Najważniejsza, że Zbyszek odchodził. Rozstaliśmy się w grudniu w dobrych nastrojach, z chęcią powrotu po świętach do ostrej pracy. Gdy spotkaliśmy się na pierwszej próbie w styczniu, Zbyszek powiedział, że nie będziemy już razem grali, że może nam zostawić nazwę, ale sam odchodzi. Mówił, że poczuł przez ten miesiąc, że jest natura, spokój...

— Że jest mu dobrze bez „Perfectu”?

— Że nie chce mieć tych obciążeń, które miał przez 2,5 roku.

Przeżyliśmy szok.

— Aż szok?

— Wytłumaczę ci to ze swojej pozycji: ośmiem lat śpiewałem najczęściej w gównie. Wychowałem się na Hendrixie czy Led Zeppelin i miałem ochotę na taką muzykę, ale ludzie tej nie chcieli. Więc śpiewałem w różnych instytucjach, cały czas marząc o czymś takim jak „Perfect”. Gdy to się stało, poczułem się szczęśliwy. Mnóstwo czasu spędziliśmy ze Zbyszkiem na rozmowach, w których on starał się ze mnie wszystkie te narośla usunąć i wyprostować. Gdy wychodziłem na scenę, byłem zawsze w garniturze. Czulem się strasznie. Nogi miały po dwie tony, wyciągałem ramię — było to bez sensu. Po tych dwóch latach coś na



tej scenie robię, jestem naturalny, czuję się sobą. To zasługa Zbyszka, który potrafił w ludziach odkrywać rejon, których sami sobie nie uświadomili. Stworzył zespół, któremu nadał kręgosłup, charakter — podobnie było ze mną. Nie wiem, czy śpiewając w Perfekcie nabrałem jakiegokolwiek osobowości, ale myślę, że jakoś tam się określiłem w muzyce.

To, co teraz czuję, to raczej strach przed życiem. W „Perfekcie” był już ten skrawek, metr kwadratowy ziemi, na którym mogłem stać dość mocno, a który się wysunął w ciągu pięciu minut rozmowy. I znów się chybać — tak jak się chybałem przez 10 lat. Teraz wiem, na przykład, że nigdy już nie pójdę na kompromis, będę próbował wygrzebać coś z siebie, sprawdzić swoje własne możliwości.

Jeżeli okaże się, że ich nie ma — to już będzie dla mnie koniec.

— Czy na swój własny użytek próbowałeś się zastanowić dlaczego Zbyszek podjął taką decyzję?

— On — nie wiem czy jest to zaleta czy wada — nie żyje takim normalnym „średkiem”, do którego my wszyscy dążymy. Jego amplituda życia jest: góra—dół, góra—dół. On żyje ciągle na czwartym biegu. Sądzę, że w momencie stabilizacji, jaką osiągnął w „Perfekcie”, po prostu zaczął się nudzić i zrobić szok — dla siebie i dla innych. I sądzę, że takie szoki będzie wywoływał co jakiś czas, przez całe swoje życie.

— I to wszystko? To był jedyny powód?

— Oczywiście przyczyn należy także szukać w tym, że nie wszystko było tak jak być powinno. Np. ja powinienem rzucić palenie, ćwiczyć fizycznie, żeby mieć kondycję, która mi pozwoli wykonać dwa koncerty dziennie z zapasem. Powinienem przynajmniej godzinę dziennie siedzieć przy instrumencie i śpiewać — to są moje słabości. Szereg takich spraw u każdego z muzyków powodowało, że osiągaliliśmy 50 proc. możliwości, a nie 100. Zbyszek może więc mieć do nas zarzuty, ale wie przecież, że sytuacja w kraju nie sprzyja ani nam, ani istnieniu takiego zespołu. Mieszkam w rozwalającym się domu, który robaki przenoszą codziennie dwa metry w lewo lub prawo, w jednym pokoju od 11 lat. Od czterech lat mam dziecko. Gdy siadam do pianina, mała wchodzi mi na plecy i chce się bawić, o godzinie 20 zasypia i życie się kończy — kiedy mam grać? Pomimo, że koncertujemy, że wydaliśmy trzy longplaye, nigdy nie mogłem sobie pozwolić na luksus powiedzenia: mamy zapewniony byt, więc mogę spokojnie śiąść i myśleć tylko o dźwiękach, o muzyce.

— Mówisz z goryczą.

— Bo takich ciśnień związanych z walką ze wszystkimi i o wszystko jest mnóstwo. Kiedyś chcieliśmy zrobić zdjęcia kibli, które dostajemy na trasie jako tzw. toaletę. W Łomży była to np. maska i kubek. Wszystko to zabiega ten czas i spokój, który może gdybym miał, okazałoby się, że jestem wspaniałym wokalistą, który może wykreować wielką postać i muzykę — a ja, po prostu nie mam na to czasu. Podobne ciśnienia odczuliśmy też w zespole, szybko zdobyliśmy popularność, potem były trasy, potem odeszło dwóch muzyków, było 7 miesięcy przerwy i takie kłopoty finansowe, że po to, by żyć sprzedawałem meble. W sierpniu zrobiliśmy cały skład na nowo, na wariackich papierach nagraliśmy płytę, ruszyliśmy w trasę i w momencie eksploatacji nowego, nie przemyślanego materiału, kiedy miał się zacząć nowy okres, Zbyszek powiedział: — Koniec panowie Z nas już nie będzie.

— Masz do niego zał...

— Podchodzę do tego z dwóch stron: raz dlaczego ten skureczysyn zostawił nas czterech i zrobił nam ku-ku. Albo też: gdybym go nie spotkał, nigdy w życiu bym nie zaśpiewał tej muzyki, nie stał się tym, kim jestem. Jednego wieczora, gdy zasyłam myślę z tej jednej strony, innego — z drugiej. Ale raczej ta druga przeważa. Żałuję tylko, że zespół się rozpadł. Mógł grać spokojnie 2—3 lata, będąc na topie i grając uczciwie, od serca. Naprawdę.

ANDRZEJ NOWICKI

— „Perfect” musiał się rozpaść. Z powodów zarówno na-



tury artystycznej jak i osobistej.

— Wyjaśnij to.

— Powody prywatne to lenistwo, brak indywidualnych postępów muzyków, którzy po nagraniu „Unu” prawie zupełnie przestali pracować. Po trzech miesiącach naprawdę wspaniałej pracy wszystko się skończyło. Zupełna bierność. Jakby się skończyły wszelkie motywacje do grania. Niemoc. Muzycy nie byli na tyle silni, żeby przebić się ze swymi koncepcjami, coraz więcej było w tym widać indywidualności Zbyszka, ale to nie znaczy, że on ich terroryzował — oni po prostu zrezygnowali, tak było im wygodnie. Wiedzieli, że znów przyniesie nowy utwór, a oni go tylko zagrają. Nie dostrzegali, że w ten sposób sami tracą ogromne możliwości.

— Czy te zarzuty odnoszą się także do ciebie?

— Nie. W stosunku do siebie ich nie mam.

— A w stosunku do Zbyszka Holdysa?

— Tym bardziej. On się rozwijał. Do tego stopnia, że między nim a resztą powstał niesamowity rozdział.

— Może pozostali muzycy, po prostu uznali, że osiągnęli pułap swych możliwości?

— Nie sądzę. Widziałem spakowane instrumenty po trasie i nie ruszane do następnej.

— Jak zareagowaliście na decyzję o rozwiązaniu zespołu?

— Gdy Zbyszek to powiedział, zapadła cisza. Potem ja powiedziałem: „I bardzo fajnie”.

— Już w listopadzie '82 roku myślałem o tym żeby odejść. Właśnie w styczniu postanowiłem Zbyszkowi o tym powiedzieć. Zostałbym w zespole tylko wtedy, gdyby on sam przekonał mnie, że to ma sens.

— Mówiąc o przyczynach rozpadu nie powiedziałeś ani

słowa o pieniądzach — a przecież pojawiały się publiczne nawet sugestie, że właśnie one były tego głównym powodem.

— Drugim jasnym punktem w zespole, obok Zbyszka, był manager — uczciwy, nie chcący robić biznesu na siłę. Po poprzednim okresie trudno mi było w to uwierzyć — było to dla mnie wręcz szokiem. Wcześniej, nigdy nie wiedziałem do końca, ile dostanę lub nie dostawałem w ogóle. Ciągłe nie miałem pieniędzy, mieszkałem w „Riwierze” na walecie. Moja żona czekała trzy lata, aż się to wszystko wyprostuje. Swoją pierwszą w życiu instrument kupiłem mając 28 lat, a pierwszy wzmacniacz — dwa miesiące temu. Mam 30 lat. Mogę cię naprawdę zapewnić: w „Perfekcie” sprawy finansowe były jasne.

— Powiedziałeś wiele uwag krytycznych o tym, co się działo na przestrzeni ostatniego roku w „Perfekcie”. Jak to możliwe, że mimo tego wszystkiego zespół jednak działał, był dobry?

— Obraz „Perfectu” wypadł istotnie dość szaro, ale uwierz, że obraz innych zespołów jest jeszcze bardziej szary. Mogę ci jeszcze na koniec coś powiedzieć: „Perfect” trafił na swej drodze na kamień, o który potkną się także inne zespoły. Został stworzony precedens, po którym pójdzie lawina. Następna będzie „Republika”. To jest naturalna droga, pierwszy zdrowy objaw, który musi się też pojawić w innych zespołach — pod warunkiem, że będą uczciwe. „Perfect” jest pierwszym wypadkiem, że ktoś stwierdził, iż przed zespołem nie stworzy się żadna większa perspektywa robienia muzyki. Oczywiście e. można by się jeszcze dość długo obracać na tym samym poziomie bez zagrożenia — lista przebojów itp. ale zespół byłby już tylko maszyną do robienia przebojów — a przecież chodzi o to, by tworzyć muzykę. Gdyby nie brak azotanów złota, mogliśmy mieć w ciągu dwóch lat cztery złote płyty. Jest to pierwsza kapela, która tego faktu nie chce wykorzystywać za wszelką cenę.

ANDRZEJ URNY

— Zapytałaś: dlaczego? Wydaje mi się, że w pewnym sensie już zrobiliśmy to, co mieliśmy zrobić. Poza tym, sytuacja w jakiej żyjemy sprawiła, że bardzo ciężko jest grać mu-



zykę rockową, która nie bija w obłokach, ale mówi o konkretnych sprawach.

— Jak to przyjąłeś?

— W tej chwili myślę, że dobrze się stało. Zbyszek miał rację.

— Czy układ jaki panował w „Perfekcie” tzn.: leader i reszta — odpowiadał ci?

— Demokracja w zespole jest rzeczą zdrową, ale nie do końca. W każdej kapeli jest jakiś leader sięlający zarodek, który potem rośnie. To: jak rośnie, jest to już sprawa całej kapeli. Zbyszek był bardzo dobrym leaderem. Do tego trzeba mieć charakter dobrego człowieka, a kiedy indziej z kolei być skurczybykiem. Myślę, że dzięki temu nauczyłem się w „Perfekcie” dyscypliny.

— Czy nie odcaurwasz zału, że to się skończyło tak nagle, że musieliście przerwać swe granie jakby „w pół słowa”?

— To był jedyny błąd Zbyszka. Bo w końcu ustabilizowaliśmy się, ja kupiłem wreszcie gitarę i wamsoniacz nie musiałem już pożyczać,

zaczęliśmy rozumieć siebie, poprawiać materiał — jego decyzja była jak zimny prysznic. Teraz biorę zabawki i idę na swój plac. Na Śląsku jest paru muzyków, z których można zrobić bardzo dobrą kapelę. Ten oddech mi się przyda. W „Perfekcie” byliśmy już wszyscy bardzo sobą zmęczeni, chociaż graliśmy mało — i za to jestem wdzięczny naszemu menagerowi, że po raz pierwszy w tej kapeli nie poczułem się nigdy oszukany ani zawiedziony.

PIOTR SZKUDELSKI

— Coś się zalaowało po zmianie składu. To był początek rozpadu. Tamten skład był muzycznie bez zarzutu, każdy coś dokładał własnego, posłuchaj np. aranżu „Ale wkoło jest wesoło” — jest ciekawy, gdyż jest wynikiem pięciu róż-



nych indywidualności. W nowym składzie nie było już motoru żeby robić coś nowego, skończyło się wspólne słuchanie muzyki — ale prawdą jest też, że nie wszyscy mieli czas na pokazanie własnego „Ja”. Po „Unu”, Zbyszek nie dał nam nawet szansy na granie razem, nie chciał robić prób. To jest przecież znaczące. To wszystko skłaniało mnie do

sądzenia, że jest coraz gorzej, coraz gorzej.

Mimo to, nie uważam, że to się musiało rozpaść, nie musiało wcale być tak, jak Zbyszek sobie życzył: że zespół, po prostu, się kończy. Moim zdaniem, należało zacząć pracować, może zmienić skład... Uważam, że w dalszym ciągu było nas stać na zrobienie wielu fajnych rzeczy. No, ale ja niestety nie mam na to wpływu. To jest moje prywatne zdanie, z którym się nawet za bardzo nie wynętrzam przed kolegami.

— To znaczy, że nie przyjmiesz powodów tej decyzji?

— Powody są, ale nieco inne — np. to, że kończy się rock, że ciężko jest pracować, bo stoi przed nami mur, który musimy cały czas rozwaląć młotkiem.

— Powiedziałeś: kończy się rock?

— Kończy się rock prawdziwy. Wiesz jakie są zespoły preferowane w radio i TV. W sumie, nie ma miejsca na prawdziwą sztukę. Co ambitniejsze, bardziej zjadliwe — jest odrzucone. Nasze massmedia mają klapki na oczach i kreuja nas na swój sposób, nie pozwalając robić tego, co my byśmy chcieli. To na pewno pomaga w takich decyzjach. Może rzeczywiście dobrze, że tak się stało, jeśli już tak ma być, to niech będzie w głoni i chwale, w tym górnym punkcie.

— Czy myślisz, że wasz leader też tak sądził?

— On się w ogóle zmienił. Przestał pić i w związku z tym, inaczej patrzy na świat. Nie wiem, może chciał po prostu odpocząć — diabli wiedzą! A może, po prostu, zaczął inaczej myśleć? Ja do końca nie będę wiedział. On na pewno nam nie powie, jakie były przyczyny. Powody z pewnością nakładają się na siebie: zupełnie inaczej myśleliśmy na początku, kiedy był nowy repertuar, kiedy nie mieliśmy popularności, zrobienie czegoś nowego, interesującego — jest rzeczą bardzo trudną, wymagającą konsolidacji wszystkich

pieciu. Dochodzą do tego kłopoty ze sprzętem, studium itp. Jeśli chce się robić dobre rzeczy, to po prostu nie ma jak — to jest też spory przyczynik do tego, że zespół się rozpadł.

— Czy masz sobie coś do zarzucenia?

— Oczywiście, bo jestem leń. Z drugiej jednak strony mam żonę w ciąży, dziecko, jest więc strasznie mało czasu żeby ćwiczyć. Widzę tu też dużą winę Zbyszka: był naszym motorem, bossem, więc kiedy on odpuścił, myśmy odpuścili także.

— Przed „Perfectem” nie grałeś zawodowo. Jakie są twoje wrażenia?

— Miałem dużo lepsze wyobrażenie o rynku muzycznym, całym tym światku — no, i zawiodłem się. W sumie, jest to bagno. Nie dzieje się nic fajnego.

— Grałście razem jeszcze w „Dzikim dziecku”. Czy po rozwiązaniu „Perfectu” Zbyszek zaproponował ci dalszą wspólną pracę?

— Nie. Miałem go nawet ochotę o to zapytać, ale bardzo zamknąłem się po tym wszystkim w sobie. Jest mi z tym bardzo źle, ale nie wiem czy zdobędę się na to, żeby z nim porozmawiać na ten temat. Widzisz, z tobą rozmawiam, a z nim nie potrafię.

KRZYSZTOF KONARZEWSKI (manager)



— Ty powinieneś powiedzieć o pieniądzach. Czy to one zgubiły „Perfect”?

— Tej muzyki nie robi się dla pieniędzy. Gdy zespół się zaczynał byliśmy goli i wesełi — i było dobrze. Zgubiły nas układy koleżeńskie. Zbyt fajnie nam się układały wzajemne stosunki — i w końcu niczego nie można było wyegzekwować. Wiem, że i tak byliśmy najbardziej zawodową kapelą w Polsce, bo to co się dzieje w innych zespołach, to już pełna amatorka. W „Perfectcie” postawiliśmy wysoką poprzeczkę i nie było mowy o pójściu na kompromis. Były duże wymagania, ale ja miałem je także w stosunku do siebie. Jeśli ja mogę życie prywatne tak ustawić, że jestem i mężem i ojcem — pozostali też powinni. I nie przyjmuję do wiadomości wymówek o kłopotach rodzinnych itp. Rozumiem to, wiem, że tak nie powinno być, ale ponieważ żyjemy w takiej rzeczywistości nie od dziś — więc nie jest to nowość i każdy powinien sobie dać z tym radę.

Jeśli można powiedzieć, że pieniądze zgubiły „Perfect”, to tylko pod jednym względem: zespół stał się bardzo szybko popularny i dobrze sprzedawany. Chłopcy zarabiali sporo — stawki, to była jedna sprawa, a to co w sumie dostawali — druga. Po prostu, udało się załatwić duże zarobki — i to poszło za szybko i kilku osobom zabrakło tutaj zawodowstwa. To jest ważny powód.

— A inne?

— Choćby sytuacja, w której żyjemy — cały czas walka, bo chcemy iść własną drogą. Na każdym kroku spotykamy się z kontra, nie wiemy co za chwilę może się stać.

— Więc lepiej było zawiesić zespół?

— Tak, bo już nie można było dalej iść do góry. Mogliśmy co najwyżej na tym samym poziomie grać, ale to już by nie było fair w stosunku do ludzi, a „Perfect” zawsze był zespołem wiarygodnym

dla publiczności. Tam było wiadać człowieka. W innym wypadku, nie moglibyśmy spojrzeć ludziom w twarz tak prosto i dumnie jak dotychczas, bo to już by było skłanianie się ku komercji, czyli „Budka Suflera” czy „2 + 1” — gramy to, bo to jest modne. Nie o to nam szło. Myśmy chcieli stworzyć coś, czego do tej pory w Polsce nie było.

ZBIGNIEW HOLDYS

— Ludzie zadają mi pytanie, czy żaluję, że „Perfect” się rozpadł — i powala ich odpowiedź, że nie. Ja ich rozumiem: nie znają po prostu kulisów „polskiego Hollywood”.



To było tak: w czasie ostatniego Bożego Narodzenia przyszedł moment odpoczynku, w którym zrozumiałem, że wziąłem działalność „Perfectu” tak serio, że już więcej z siebie dać nie mogę. Zabrzmiało to absurdalnie: „Perfect” na pewno nie jest szczytem moich możliwości, ale doprowadzenie go do takiego poziomu wymagało tak potwornej pracy, straty zdrowia, że w końcu przyszedł dzień, w którym musiałem sobie postawić pytanie: po co? dlaczego?, co dalej?

Zdałem sobie wtedy sprawę, że „Perfect” nie daje mi już możliwości realizowania swych planów artystycznych i swego arcia. Powody tego leżą zarówno wewnątrz zespołu, jak i poza nim. To co jest „poza”, to są sprawy powszechnie znane. Admini-tra-

cja utrudnia nam życie aż do bólu, widzowie też — na początku uwielbiają, potem żądają, w końcu nienawidzą. Do tego dokładają się dziennikarze piszący igrasstwa na temat zespołu, pasujące im jednak do jakiegoś tam obrazu Hoidysa.

W końcu doszedłem do tego, że stwierdziłem, iż to wszystko co nas otacza, w 99 proc. jest przykre, mierne, żadne. Nie jestem dzieckiem, powinieniem był to przewidzieć. Teraz wiem, że dałem się nabrać w momencie kiedy pomyślałem, że w Polsce naprawdę ktoś chce w muzyce zmian na lepsze.

Pomyślałem wtedy, że nie mam prawa w taki sposób unicestwić swego życia, żyć kosztem potwornych wyrzeczeń, bo należy mi się życie godne — o które walcząc, przestałem żyć godnie.

Spojrzałem na zespół — i zobaczyłem, że o naprawdę godną i dobrą muzykę walczą też sam. Zrozumiałem, że „Perfect” więcej osiągnąć nie może. Pojąłem to, po przeanalizowaniu moich zabiegów o utrzymanie wysokiego poziomu — z rezultatami. I to jest rzecz chyba najbardziej istotna.

Chciałem, żeby to była ekipa perfekcyjna, żeby każdy dał z siebie maksimum na jakie go stać — ale za tym szła też maksymalna praca. A okazało się, że było jej tyle, ile zostawało czasu między wypoczynkiem, zabawami itp.

W zespole jest pięciu ludzi — i każdy co innego widzi. Dla mnie oklaski, autografy, kwiaty, dziewczyny — nie mają znaczenia. Są natomiast ludzie, którzy jeśli nie dostaną braw są wściekli — ale nie chce im się na nie pracować.

Grzesiek nie śpiewa w ogóle poza próbami zespołu, rok po powstaniu repertuaru mylił się

z tekstem, do dziś nie nauczył się wymawiać: „Blue Suede Shoes”, opuszcza próby, pije. Piotrek gra na perkusji nierówno. Niektórzy nie wiedzą do dziś jakie akordy grają w utworze — to są rzeczy wstrząsające i straszne. Ja wiem, że każdy z nich mógłby, spokojnie, założyć zespół najlepszy w kraju — ale mnie interesuje zespół doskonały, artystycznie najlepszej klasy. Czytałem „Dzień szakała” — w takim zespole musi być pięciu szakała, pięciu ludzi do granic możliwości bezbłędnych.

Nie chcę, żeby to wypadło, że ja kogokolwiek oskarżam. To jest raczej tak: jechałem samochodem i zaprosiłem kolegów żeby wsiadli i pojechali dalej ze mną. Ale mój samochód nabral takiego przyspieszenia, że im się ta wycieczka

znużyła. Oni chcieli po prostu jechać i żeby za oknem były eleganckie widoki. A co zrobić jak gumę zsiapiemy czy paliwa zabraknie — Hoidys załatwi. Myślę, że gdyby pracowali tak jak ja, tyle samo czasu poświęcali muzyce — byłiby na tym samym etapie co ja. Jest jednak również wielce prawdopodobne, że chciałem ich zabrać w rejony, które nie są, im pisane.

W końcu doszedłem do wniosku, że być może są gdzieś ludzie, z którymi można grać, którzy chcą tego samego, tacy sami jak ja pasjonaci — więc postanowiłem odejść. Cóż na tym tracię — oklaski? To znaczy zyskuję spokój. Może robić to czego chce, co jest prawdziwe i to jest w tej chwili moja największa satysfakcja.

ANNA DĄBROWSKA

